

ANTONI MAŁECKI.

Różne bywają jubileusze. Zdarza się, że człowiek w skromnym zakresie swego działania zrobi wiele dobrego, ożywi zamierającą gałąź nauki, lub przemysłu, stworzy podstawy dla wielu do pracy mrówczej, niepozornej, a wypełniającej życie; czasem świeci tylko przez lat kilkadziesiąt przykładem wzorowej, niezmordowanej, zawodowej pracy i doczeka się dnia, w którym wdzięczni współpracownicy, lub uczniowie, ozdobią sędziwe skronie wieńcem uznania. Dowiadujemy się o tem z dzienników, cieszymy się, że jubilat doczekał rzadkiej uroczystości i — przechodzimy nazajutrz do porządku lub nieporządku dziennego, a nowa, nieustająca fala zdarzeń, kłopotów i obowiązków zmywa z pamięci ludzkiej jubileusz po jubileuszu. Czasem znowu niespodziewany, przedwczesny zgon zasłużonego pracownika wzbudzi żal w społeczeństwie, że nie zdążyło w porę wyrazić zmarłemu swego uznania; na mogile zielenią się wówczas wieńce nietrwałe... Przyspieszony pęd gorączkowej, nadmiernej pracy skraca życie. O pięćdziesięcioletnich jubileuszach coraz rzadziej słyszymy, a mnożą się obchody pracy trzydziestoletniej lub dwudziestopięcioletniej. Są bowiem dwudziestopięciolecia o plonie nadzwyczajnym, przebuynym, godnym uwielbienia i czci ogółu.

Do bardzo rzadkich, wyjątkowych jubileuszów należy powszechny hołd, złożony sędziwemu, a tak czerstwemu i pełnemu sił, Antoniemu Małeckiemu. Wyjątkowym jest fakt sześćdziesięcioletniej, nieustannej, wydatnej pracy na różnych polach piśmiennictwa polskiego; wyjątkowa jest, i zapewne na długo pozostanie, ewolucya od poezyi i filozofii począwszy, przez filologię, lingwistykę i literaturę ku badaniom historycznym; a daj Boże, aby niewyjątkową, owszem, krzewiącą się jak najczęściej i jak najszerszej, była u nas tak potężna, zdrowa, jednolita i jakby ze spiżu wykuta organizacya duchowa, którą trzy pokolenia polskie mają wpośród siebie, na którą patrzą, od której się tyle nauczyły i ciągle jeszcze uczą.

Trudno wyrazić, ile zawdzięczamy Małeckiemu i jaka nas radość przenika, ilekroć pomyślimy, że tam, w ciemnym skrzydle świątyni naukowej, zwanej *Ossolineum*, działa, tworzy, zagrzewa swym przykładem do pracy, Antoni Małecki, ten sam, który w roku 1841 od ludowej nuty wierszem zaczynał, a w roku 1902 genezie społeczeństwa polskiego zachód pięknego żywota poświęca.

Było-by to zuchwałstwem, chcieć w króciutkim szkicu dać pełny wizerunek duchowy męża takiej miary. Ale można, a nawet potrzeba uwydatnić, chociażby w ogólnym zarysie, doniosłość, obfitość i różnorodność zasług czcigodnego jubilata. Nie powiemy tu nic nowego. Już przed dwudziestu ośmiu laty zapowiadał J. I. Kraszewski: „nie należy dr Antoni Małecki do tych, którym-by odmawiano dziś znakomitego talentu, gruntownej nauki i wielkich zasług, ale przekonani jesteśmy, że przyszłość jeszcze go wyżej daleko postawi, niżeli dzisiejsze uznanie“ ¹⁾. Przepowiednia w zupełności się sprawdziła.

I.

Urodził się Antoni Małecki w roku 1821 w Obiezierzcu, o trzy mile od Poznania. Dzieciństwo miał sielskie; ze wsi wielkopolskiej wyniósł na cały długi żywot miłość rodzinnej ziemi, nienarażonej wówczas jeszcze na ciężkie, dzisiejsze próby. Kształciła go dzielna matka, bo ojciec odumarł go przedwcześnie. Początki nauk dawał mu zacny nauczyciel Cybichowski, a pierwsze łyzy rozumne wylewał chłopiec nad męką Chrystusa, opisaną w Biblii Budnego. Stary druk XVI wieku zasiewał w dziecinnej główce i słowa Zygmunto-wskiej polszczyzny, i przyszłą miłość ojczyznowego piśmiennictwa. Oddany w roku 1833 w Poznaniu do szkół gimnazjalnych, ukończył je w roku 1841, a w tymże roku, jakby na dowód istotnej, nie na papierze tylko, dojrzałości do studyów uniwersyteckich napisał młody „abituryent“ pierwszą większą pracę, którą A. Popliński, gimnazjalny jego profesor, uznał godną druku. Był to szkic: „*O życiu i pr-smach Mickiewicza*“, wydrukowany w dwu numerach *Oređownika Naukowego* (1842 r., str. 246 — 248 i 254 — 256).

¹⁾ Ob. szczegółowy życiorys A. Małeckiego przez J. I. Kraszewskiego w *Kłosa ch* z roku 1874, str. 190 — 192.

Jest to ze wszech miar godny uwagi zarys biograficzny, którego wartość polega na tem, że Małecki czerpał wiadomości swe z bardzo dobrego źródła, bo od brata poety, Franciszka Mickiewicza. Jak do tego szkicu literackiego przyszło, opowiada sam Małecki. Po rychłej śmierci rodziców swoich oddany został w opiekę hr. Józefowi Grabowskiemu w Łukowie, gdzie spędzał zawsze wakacje. Tutaj-to poznał Franciszka Mickiewicza, który przebywał stale od roku 1831 w gościnnym domu hr. Grabowskiego. Młodziutki uczeń gimnazyalny pozyskał życzliwość, a w dalszych latach i przyjaźń brata A. Mickiewicza. „Było to w roku 1841, — pisze Antoni Małecki, — w miesiącu wrześniu, ostatnim miesiącu uczęszczania mego do gimnazyum w Poznaniu“ ¹⁾.

Zakończyły się egzamina dojrzałości. Małecki wraz z innymi kolegami zaliczony został do tak zwanych abiturjentów. Było wówczas zwyczajem w gimnazyach wielkopolskich, że całoroczne nauki szkolne kończyły się aktem publicznym, podczas którego rozdawano celującym uczniom nagrody, abiturjentom zaś wręczano świadectwa dojrzałości. Ostatnią tę czynność poprzedzało wygłoszenie trzech mów w języku łacińskim, polskim i niemieckim; profesorowie wybierali mówców z pośród abiturjentów; wybrani zaś mogli sami decydować o przedmiocie mowy, za zgodą władzy szkolnej.

W owym roku mowę polską wygłosić miał Małecki.

„Kiedy mnie profesor nasz języka polskiego, Antoni Popliński, zapytał, o czem mówić zamierzam, odpowiedziałem bez namysłu: „Oczywiście o Mickiewiczu!“. — „Dobry przedmiot, — odparł na to profesor, — ale cóż ty o nim powiesz, kiedy tak mało o życiu jego wiadomo?“.

„Zdajcie to panowie na mnie, — odpowiedziałem, — niech to już będzie mój kłopot. Mam takie źródło, z którego warto zaczerpnąć“.

„Źródłem owem dla mnie miał naturalnie być p. Franciszek w Łukowie“ ²⁾.

Na gorące listowne prośby Małeckiego, który sam z powodu obowiązków gimnazyalnych wyjechać do Łukowa nie mógł, przyjechał stamtąd Franciszek Mickiewicz, gościł w Poznaniu dni parę, mówił z Małeckim „w cztery oczy otwarcie o wszystkim“, a po jego odjeździe ułożył „abiturjent“ swoją niepospolitą mowę, którą po wygłosze-

¹⁾ *Z Dziejów i Literatury*. Pomniejsze pisma Antoniego Małeckiego. Lwów, 1896. (K. Grendyszyński w Petersburgu), str. 194 i n.

²⁾ Tamże.

niu zaraz mu prof. Popliński zabrał i, jako redaktor „Orędownika“, w czasopiśmie tem po jakimś czasie wydrukował.

Krótką tą, niezupełną i dorywczą biografią Adama Mickiewicza, była przecież pierwszą w polskim języku. Nie tyle się dziwić, że ten lub ów szczegół jest tam chronologicznie nie na miejscu, jak raczej zdumiewać się nad trafnem postawieniem całej kwestyi i śmiałem jej ujęciem. Błędami tej młodzieńczej pracy muszą się podzielić: brat poety, Franciszek, który niejedno mógł źle zapamiętać, i Francuz, Ludwik Loménie, który właśnie wtedy wydał w Paryżu broszurkę o Mickiewiczu w „Galerie des contemporains illustres“. Korzystał z tej broszurki młody mówca, „jako ze źródła“.

Uwielbienie Mickiewicza i zapał dla jego poezyi cechują tę drobną pracę, którą tak znacząco rozpoczął swą działalność pisarską Małecki. Przyszły biograf Słowackiego, już tutaj, jako 20-letni autor objawiał trwałe zalety swego talentu badawczego, już wówczas zwracał uwagę na cechy ważne, charakterystyczne, na pamięć nadzwyczajną poety, dar improwizacyjny, doniosłość otoczenia uniwersyteckiego w Wilnie, samorodną nutę ballad i t. d. Określenie świadomości poetyckiej Mickiewicza jest doskonałe:

„Pojął Mickiewicz, co to jest być poetą, i zrozumiał, jak się ma objawiać święta, boska poezya. Wiedział, że poezya jest kapłaństwem niepokalanem, którego do płaskich, niskich celów nagiąć się nie godzi, a poeta – kapłanem ludu, organem i głosem onegoż do Boga, do potomności“.—Tak mówił o poecie, a poezją jego już wówczas, kiedy trwały wykłady w Collège de France, uważał jako pieśń, która „będzie kiedyś świadectwem dni naszych, to jest obrazem rzetelnym, prawdziwym, a świeżym, gdzie życie drga jeszcze, gdzie uczucia jeszcze nie ostygły. Niechaj inne narody czekają, aż się dzieje ich zamglą dawnością i fantazją dawności omroczą. Mickiewicz tego nie potrzebował. On do swej pieśni i treść, i kształty miał przygotowane. Dostyc mu było pochwyć je, póki nie ulecą, dostyc rozkazać twórczym rozkazem: pokryjcie się ciałem! pozostańcie, jako pomnik dni naszych w najpóźniejsze lata! dostyc, mówię, było mu na tem, by najplastyczniejszą stronę życia narodowego potomności niewzruszoną przekazać“.

Tę mowę „abituryenta“ chciał widocnie student uniwersytetu uzupełnić. W mowie doszedł do znaczenia „Pana Tadeusza“, i na tem rzecz się w Orędowniku urywa, z uwagą nawiasową: *Zdanie o prelekcjach później*. Ale uzupełnieniu stanęły na przeszkodzie lata uniwersyteckiej, sumiennej, cichej, żelaznej pracy, na której, jak na głębokich, a niewzruszonych fundamentach wznieść się miał gmach, stawiany potem przez lat dziesiątki pewną i skrzętną ręką mistrza.

Mową o Poezie zamykał młodzieniec swe lata gimnazyalne, lata pierwszych porywów i rojeń poetyckich. Odczuł piękności Ballad i ludowego ich nastroju, bo mu w piersi grały także ludowe pieśni, bo się już poczuł synem kochającym rodzinnej ziemi. Łacina i Greka nie wysuszyły w nim w gimnazyum poznańskim źródeł natchnienia; z pól rodzinnego Obiezierza dolatywała zdrowa, wiejska nuta, a rozmarzony młodzian pisał wierszem *Ostatki*, tak mu drogie, tak ukochane, bo je dzieckiem zapamiętał ¹⁾:

„Chcecież wiedzieć, jak się chłopcy bawią z dziewczętami
Na ostatki w Obiezierzu pod Obornikami?
Jak się bawią, jak śpiewają, jak tańczą wesoło?
Chcecież wiedzieć? To słuchajcie, obścapię mnie w koło“.

I opowiedział kolegom wierszem potoczystym, z zacięciem, przypominającym „Sielanki“ Szymonowicza, zwyczajnie wiejskie w zapusty. Jest w tym wierszu i prostota, i humor łagodny, i bystrość obserwacyi, a nie brak w końcu umyślnej aluzyi do wymuszonych zabaw w mieście, sztucznie urządzanych, a tak niepodobnych do szczerej ochoty wiejskiej:

„A w mieście, cóż ludzie robią? — *Wieczorów* tam wiele,
A salony brzmią muzyką, a świec, jak w kościele!
Czy szczęśliwi na swych balach? czy się bawią szczerze?
Tańczą przecież kontredansa, rulady śpiewają,
Po francusku paplą z sobą, albo w wista grają,
Ale, żeby się bawili -- temu ja nie wierzę!“.

Nie na zabawę też pojechał nasz „abituryent“ do wielkiego, obcego miasta, do Berlina. Dążył tam po wiedzę, z pełną świadomością jej potrzeby, z gorącym pragnieniem, żeby po latach przywieźć jej jak najwięcej i dla siebie, i dla swoich.

¹⁾ Dnia 28 lutego 1841 roku. Wydrukowane w *Przyjacieli Ludu*, Leszno, 1841, str. 309 — 310.

II.

Uniwersytet berliński świecił wówczas znakomitościami naukowymi. Były to czasy wszechwładnego jeszcze panowania hegelianizmu, który żył siłą tradycyi miejscowych, ale chylił się już ku upadkowi. Małeckiemu zależało przede wszystkim na zdobyciu metody naukowej, którą chciał do polskiej zastosować wiedzy. Nic dziwnego, że młodego ucznia uniwersytetu oszołomiła zrazu i zachwyciła filozofia heglowska, tak pewna siebie, z taką powagą rozwiązująca przez tezy i antytezy wszelkie zagadnienia wieków, wznosząca się z jednej do drugiej syntezy.

Młody umysł nurzał się z lubością w tej próżni abstrakcyjnej, biorąc sztych formułek i nadpowietrznych konstrukcyi za szczerę złotą prawdę niewzruszonej. Skuszony tą pozorną łatwością piętrzenia idei na ideach rzucił się, z tym świętym zapalem, co mierzy siły na zamiary, do rozwiązania najtrudniejszych problematów i napisał rzecz: „*O żywej, pojmującej się i dokonywającej Narodowości*“, którą poznański „Tygodnik Literacki“ (Woykowskiego) zaczął drukować dnia 30 września 1843 roku ¹⁾. Obracamy się tu w zaczarowanym kole terminologii transcendentalnej: *bezróżni, nadsprzeczn, jeim* i t. d. Mamy do czynienia z dyalektyką widzialną, posuwającą się w Czasie realnym, wyrzucającą z siebie kolejno coraz nowe kategorie, znosząc je następnie jako coraz nowe momenta, wywijającą z nich znowu coraz dalsze konsekwencye...“.

Wydać się to może dzisiaj igraszką słów, goniących się jak rój jednodniówek w cichy wieczór lipcowy nad brzegiem rzeki — a przecież tkwi w tej filozoficznej rozprawie ogrom rozmyślań nad tak żywotną dla Polaka kwestyą. Takie zapuszczanie się w las gęsty pojęć i idei wymagało niecodziennej tęgości umysłowej, ostrzyło zmysł orientacyjny w labiryncie abstrakcyj, wymagało doskonałego kompasu logiki. Studya filozoficzne nie mogły wypełnić potrzeb gorącego serca, ale były wyborną szkołą porządnego myślenia. zaczytywał się w filozofach nowszych i starożytnych MałECKI. Z rozprawy

¹⁾ Str. 306 inn.; na str. 357 czytamy po artykule o narodowości: „ciąg dalszy później nastąpi“. Nie znajdujemy jednak dokończenia tej pracy w *Tygodniku*.

o narodowości widać, że mu nawet Boehme obcym nie był. We wszechstronnem rozpatrywaniu istoty i znaczenia narodowości, stosunku jej do ludzkości, w oznaczaniu różnych „pojawów“ narodowego życia nie mógł oczywiście Małecki pominąć j ę z y k a .

Ze wszech miar godne uwagi jest, jak przyszły badacz mowy określa doniosłość języka dla narodu. W ustępie, który z zapomnianej od pół wieku rozprawy wydobywamy, znajdzie czytelnik zarazem próbkę ówczesnego filozoficznego nastroju Małeckiego:

„Język jest narodowość wewnętrzna, pochodzenie mająca z ducha, bogata w wyobrażenia i obrazy, z natury ojczyznej zdjęte, ale przeczyszczone przez płomień Ducha wewnętrzny i zidealizowane przezeń: narodowość wyobrażeń, ślad stosunku narodu do miejscowości i czasowości swojej. Wielki tu już skarb istoty swojej składa naród: mądrość wyobrażeń i zapatrzania się jego na wszystko, co go otacza i na siebie samego, będzie kiedyś zdumiewała późne jego pokolenia, będzie zdumiewała milionem lat odgrodzoną od niego Ludzkość. I bez wątpienia więcej wypowiada w języku swoim naród, niż sam wiedzieć o tem może. Duch jego jeszcze mrzący, a najwięcej jeśli *czujący się*, nie potrafił-by tego, gdyby *implicite* nie miał tej mądrości w sobie *w zarodzie*, którą mu rzeczywiście wieków prace pozyskają. Język jest potężnym a przeważnym organem narodowości; co w naturze skamieniało na martwe kształty, będąc ledwo symbolem narodowości—: to płynie tu pod pokrywą głosu i brzmienia, jak niezgłębiany potok z całym prądem nieprzebranego życia i mądrej genialnej intuicyi. Tutaj to przyszłe pokolenia czerpać będą treść ojcowizny swojej, która ich jedynie zasilać zdolna, która sama odkryć im może ich narodowość, bo sama jest narodowością. W zwrotach, brzmieniu, ukształtowaniu wyrazów i całej wogóle strukturze języka już tak dalece odbija się narodowość Ducha, że można z niej zawsze odgadnąć istotę przynajmniej jego historyi; równie i naturze położenia jeograficznego (!) tak wyraziście świadczy brzmienie mowy ojczyznej, że jak wprzód mogliśmy nazwać język narodowością w brzmieniu znoszącą realność swojej natury: tak teraz dodać odwrotnie możemy, że język, gdyby był zaklęty w skamieniałe formy i massy przestrzeń zajmujące, mógł-by tylko ojczyzną ziemię powtórzyć, z przyciskiem głównego piętna, które ją znamionuje“¹⁾.

Ta próbka filozofii i stylu daje miarę bezgranicznego zaufania młodzieńca do ideologii, a zarazem wielkiej miłości mowy ojczyznej. Umysł tak trzeźwy i rozważny, jak Małeckiego, nie mógł długo prze-

1) *Tygodnik literacki*, 1843, str. 323 — 324.

bywać na wyżynach transcendentalnych i nadobłocznych. Był młodym, łaknął silniejszego pokarmu i znalazł go podostatkiem w studiach historycznych, literackich i filologicznych.

Znalazł mistrzów nielada: historyi nauczał w Berlinie Ranke i Raumer, filologii klasycznej Boeckh, Zumpt i Lachmann, filozofią obok Schellinga, już starego, wykładał Trendelenburg, zrywający z Hegelianizmem, który miał przeciw przedstawiela w Michelet'cie. Młodzieży polskiej było wówczas sporo w Berlinie; kolegował Małeczki z wielu rodakami, głośnymi z czasem. Kształcili się tam wówczas: Henryk Szuman, ksiądz Prusinowski, ksiądz Janiszewski (późniejszy biskup), Zielonacki, Rogier Raczyński, Szafarkiewicz i w. i. Młodzież polska miała w Berlinie własną, składkową bibliotekę, zbierała się co sobotę wieczorem, czytała, rozprawiała, rola.

Po kilkuletnich studiach składa Małeczki egzamina i otrzymuje w uniwersytecie berlińskim stopień doktora filozofii za rozprawę pod tytułem: *De Academia Vetere*, w której rozwiódł się nad systemem filozoficznym pierwszych uczniów Platona. W lutym roku 1845 złożył tamże drugi egzamin pedagogiczny i otrzymał świadectwo, upoważniające go do nauczania w wyższem gimnazyum filologii klasycznej, filozofii i historyi powszechnej. Wróciwszy do Poznania, nauczał od roku 1845 do roku 1850 w gimnazyum katolickim łaciny, greki, języka polskiego. Czas wolny od zmundnych zajęć pedagogicznych poświęcał studjom historycznym i literackim. Silny był wówczas ruch umysłowy w dzielnicy wielkopolskiej. Obok czasopism tygodniowych, wychodziły wtedy w Poznaniu dwa miesięczne przeglądy: *Rok* i *Przegląd Poznański*. W obu umieszczał swe prace Małeczki, a dość wymienić ich tytuły, aby przekonać się o różnostronności badań, o tem, co niemal równocześnie nęciło wyobraźnię i umysł młodego badacza.

Najpierw ukazała się rozprawa pod tytułem: *Porównanie pierwotnych związków społecznych u Germanów i Słowian*¹⁾. Nie mamy zamiaru wchodzić w szczegóły tej starannej pracy, której wyniki autor

¹⁾ *Przegląd Poznański*. Pismo miesięczne, tom III, 1846. Poznań (Redaktor dr Szafarkiewicz), str. 209—270 i 273—286. W tomie tym znajdujemy liczne rozprawy, poświęcone historyi włościan: „O służbie wojennej włościan za dawnej Polski”. — „Wyjątki z historyi ludu włościańskiego w Polsce”. — „Historja ludu włościańskiego w Polsce”. — Ten prąd badań ówczesnych, zmierzających do rozjaśnienia doli historycznej włościan jest bardzo znamienym i naturalnym w roku 1846. Mógł on być pobudką dla przyszłego badacza pierwiastkowych dziejów Polski do podjęcia własnych na tem polu poszukiwań.

teraz sam-by inaczej, zdaje się, określił; ale nie możemy przemilczeć, z jak szlachetnych i gorących wyszła ona pobudek. Na czele jej czytamy takie *motto* z Roepell'a, które i dzisiaj jeszcze, dzisiaj właśnie, nie straciło swej mocy: „Es wird uns Deutschen nicht leicht, den nationalen Geist der Slaven unbefangen aufzufassen und zu würdigen; aber mit dem reinen Negiren, *absoluten Verurtheilen* desselben, wie man solches in unseren (!) Tagen gar häufig findet, kommt man sicher der Sache nicht auf den Grund“.

W pracy tej żegna Małeckci stanowczo i na zawsze zaciekania filozoficzne, a zadawszy sobie pytanie, „jaki rodzaj pracy umysłowej sprawie a pożytkowi powszechnemu najwięcej posłużyć może?“, dochodzi do przeświadczenia, że badań filozoficznych nikt słuchać nie zechce w czasie, kiedy wre walka potęg tysiąca przeciw tysiącom innych“, że obecnie pora nie tyle na filozofią rozumu, ani na filozofią pewnej wyłącznej zasady i dążności, ile raczej na filozofią dobrej woli i dobrej wiary“.

A czynem dobrej woli i dobrej wiary było to studjum porównawcze o genezie dwu społeczeństw, dwu organizmów narodowych, z których jeden, germański, tuczyć się pragnął krzywdą drugiego, słowiańskiego. Filozof - historyk pragnął dotrzeć do samego jądra kwestyi, do zarodkowej komórki pierwotnego organizmu społecznego Germanów i Słowian, chciał wykazać, „w czym mianowicie, zaraz w czasach pierwotnych, zarody społeczeństwa słowiańskiego od zarodów społeczeństwa germańskiego się różniły“. Wieś germańska wobec wsi słowiańskiej—oto problem zasadniczy, ważny, a samo postawienie jego i próba rozwiązania drogą porównawczą były dowodem niepospolitej na owe czasy bystrości badacza. Nie miał wtedy Małeckci tych wszystkich pomocniczych zbiorów źródeł, regestów, monografij, słowem tego wszystkiego, co w kilkadziesiąt lat potem nagromadziła wiedza historyczna, która, dzięki równoczesnym i równoległym poszukiwaniom etnologicznym, lingwistycznym i heraldycznym dokonała przedwstępnej pracy i wydzieliła okruszyny prawdy z rumowiska zmyśleń średniowiecznych; a przecież jak dzielnie potyka się autor z trudnościami, jak im nigdzie z drogi nie schodzi! Mamy już tu i kwestyę opola i oddzielania się rodów, i kwestyę wspólnot herbowych, osad rzemieślniczych i pańszczyzny, systemu dziedziczenia kmiecego i szlacheckiego i t. d., i t. d.

Te wszystkie ciekawe i ważne kwestyie genezy, które po latach *pięćdziesięciu* nie przestaną zaprzętać myśli badacza, są tu przecież dla Małeckiego tylko zbiorem narzędzi naukowych, zmierzających do przebiccia się na jaśnie, do uchwycenia zarodkowych różnic dwu olbrzymich szczepów, do skreślenia znamion charakterystycznych Ger-

manów i Słowian. Małecki tak je streszcza: za cechy trwałe, rasowe Germanów uważa wojowniczość, silny a odrębny indywidualizm, nierówność społeczną, wydającą feudalizm; tym wszystkim cechom germańskim przeciwstawiają się, zdaniem autora, cechy Słowian starożytnych: rolniczość, porządek ziemski i gromadny, równość powszechna, brak tęgości indywidualizmu, a natomiast familijność i rodowość.

Jużby się mogło było zdawać, że historia powszechna, że zwłaszcza dzieje pierwotne Polski pociągną ku sobie badacza i pochłoną go na zawsze. Ale młody nauczyciel poznański rozczytywał się wówczas pilnie w prelekcjach Mickiewicza paryskich. Te mu nie dały zasklepić się w jednym, choćby najobszerniejszym, zakresie szczegółowym wiedzy. Znalazł tam wprawdzie pobudkę do zajęcia się starożytnościami etnicznymi Słowian, ale wyczytał także wspaniałe rozbiór „Nieboskiej”; — a że do umysłu, wytrawionego studiami filozoficznymi, znajdującego na wylot Hegla i Schellinga, przemówił Irydyon potęgą swej myśli, co wieki przeżyła, to chyba wszyscy zrozumiemy.

I tem się tłumaczy, że w tym samym roku 1846, wydał Małecki obok historycznej rozprawy porównawczej o pierwotnych związkach społecznych Germanów i Słowian, — świetne studium: „*O stanowisku i dziełach Autora Irydyona*“¹⁾.

Był to początek dłuższej pracy, której potem zaniechał autor, napisawszy tylko rozbiór Irydyona. Ten wstępny rozdział, sam dla siebie stanowiący całość, jest doskonale pomyślany, a pod względem stylu należy do najlepszych utworów Małeckiego. Streszczać go nie można, tak jest pełnym treści. To zaś, co tam Małecki o Zygm. Krasieńskim napisał, tak jest przenikliwe, tak trafnie stawiające autora „Irydyona“ na właściwym mu miejscu, że nietylko dziś, po tylu latach, ale kiedyś pewnie, w najdalszej przyszłości, historia myśli polskiej powtórzy tylko i potwierdzi bystry sąd 24-letniego młodzieńca. Uznawszy dzieła „bezimiennego autora“ za „wielce ważne, najważniejsze może z ostatnich faktów naszej literatury“, przystępuje Małecki do ich oceny tem skwapliwiej, „że mało są dotąd rozpowszechnione, mało czytane, wielu nawet nieznanne...“. Ten dziwny brak popularności tłumaczy autor bardzo trafnie tym, tyle w naszym społeczeństwie mówiącym argumentem, że autor „Nieboskiej“ „nie należy do żadnych z wojujących dziś partyj“. Nie rozumie tego ogół, że są ludzie wyżsi, którzy dlatego nie podzielają wyłącznie tych lub owych przekonań stronnicych, „że już je przeszli i wyszli po za ich obręb“, Ta-

¹⁾ „Rok 1846“. Zeszyt lutowy. Rozprawa ta przedrukowana jest w książce pod tytułem: „Z Dziejów i Literatury“, str. 1 — 9.

kim jest twórca „Nieboskiej“. „W tym razie nienależenie do żadnej partyi będzie cechą ducha wyrobionego i wyprzedzającego czas swój“. Kto jednak do prawdy wyższej zdołał się wznieść, „ten zwyczajnie od różnych różnie pojmowany, każdej partyi za nieprzyjaciela uchodzi“. Autor „Irydiona“ u demokratów uchodzi za arystokratę. „Czemu?—bo z niepięknej strony odsłonił zamysły Pankracego i jego zastępów; u arystokracji, przeciwnie, za demokratę okrzyczany—a czemu? bo wystawił w tem-że dziele w przerażającym świetle wszystkie te stare, dziś przedawnione uczucia, które władza dawnymi czasy feudalizmem, później arystokracją. Jeżeli zechcemy pójść dalej, obaczmy, że ortodoksi z niechęcią o nim wspominają, bo to zasady nienarodowe, niekatolickie, bo to filozofia“. Filozofowie ze swej strony zarzucają mu znówu zbytnią fantazyę i uczuciowość, „która pochodzi z przesadzonego religijnego kierunku (1) i nie cierpi tej wolności, która wszelkiego myślenia swobodnego a samodzielnego jest niezbędnym warunkiem“. Inni znówu do Towiańszczyzny go liczą! Owóż chaos wyobrażeń, zgiełk sądów różnych, sprzecznych o człowieku tym samym. — Każda partya odsyła go do drugiej, sobie przeciwnej; podczas gdy on do nich wszystkich w połączeniu przyznać się może, oczyściwszy naturalnie każdą z tej pleśni, przez którą wyrzuca się na wierzch nurtująca we wnętrzu ich nienawiść. Autor nasz wyrzekł się nienawiści pierwiastków jednych dla miłości pierwiastków innych: i tem jednym już je z sobą złączył, by mu wszystkie służyły, by go wyniosły tam, dokąd żaden pojedynczo nie doprowadzi. W tem jasnym spojrzeniu na całą prawdę, a nie na niektóre tylko strony prawdy, — w tem ujęciu wszystkich władz umysłu ludzkiego w jedną siłę, czy ją tam nazwiemy fantazyą twórczą, czy intuicyą, czy duchem, w tej mowiei zupełnej i całkowitej wszystkiego ducha pracy, ukryta leży tajemnica wysokości stanowiska autora naszego, którem się od innych naszych poetów różni i którem ich prześciga“.

Nie wiem, czy od czasu, gdy to było wydrukowane, pojawiło się głębsze, trafniejsze, sprawiedliwsze określenie natury duchowej, znaczenia i stanowiska Zygmunta Krasińskiego. MałECKI czuł dobrze, jak wiele tu twierdził wobec powszechnej wówczas obojętności ogółu dla arcydzieł myśli naszej; to też szczegółowo uzasadnia swój sąd, dowodzi znakomicie, dlaczego autor „Irydiona“ „ludzkości całej poetą nazwany być powinien“, dlaczego widzi w nim „prawego i dalej

1) „Z Dziejów i Literatury“, str. 5 — 6.

poezję prowadzącego, następcę Mickiewicza“. Ta drobna rozmiarami rozprawka o dziewięciu stronach druku, tworzy epokę dla badań nad Zyg. Krasińskim. Była to jakby uwertura wielkiej opery filozoficznej, od dziejów „Nieboskiej“ począwszy aż do złotych zórz „Przedświtu“. Nieodżałowaną jest stratą dla piśmiennictwa naszego, że z opery tej jeden zaledwie akt pozostał: rozbiór Irydiona. Że do rozbioru tego przystąpił autor po głębokim zastanowieniu się nad myślą przewodnią *Nieboskiej*, widać to choćby z tych ustępów, gdzie porównywa spotkanie się Irydiona i Aleksandra Sewera z dialogiem Henryka i Pankracego¹⁾. Uważa wreszcie Małeckie, w końcowym ustępie pierwotnego tekstu, Irydiona za „ślad wyższego (od Nieboskiej) stanowiska“. Cały rozbiór Irydiona jest właściwie filozoficznym jego streszczeniem; widzimy dziś dokładnie zamiar wydzielenia z poematu (nazwanego pierwotnie przez Małeckiego: tragedją) pierwiastków ideologicznych.

Estetyczna strona arcydzieła nie obchodzi prawie naszego krytyka. Natomiast dla filozoficznej ma sąd dziwnie przenikliwy; ma po prostu nietylko współczucie dla Irydiona, ale jakby współwiedzę najtajniejszej myśli autora. Zygmunt Krasiński tak był zdumiony tą analizą Irydiona, że, dziękując Gaszyńskiemu gorąco za jej przysłanie, pisał z Nicei, 2 maja 1847 roku. „To prawda, że ten krytyk, jak nożem chirurga, ale doskonałego, rozerznął na najdrobniejsze muszkuły, ścięgna, włókna, żyłki, arteryjki *Ducha Irydionowego*. Czytając, czułem to, co muszą czuć ci, którzy eteru zażywszy, są dyssekowani. Dziwne wrażenie, bezbolesne, a jednak to twe ciało rzną i to twa krew płynie“. Zważmy, że poeta, który tak chętnie polemizuje, ilekroć spotka się z niezrozumieniem swej myśli (przypominam tylko odparcie zarzutów L. Ulrycha w liście do Gaszyńskiego), tutaj ani jednego zarzutu nie stawia; tylko drażliwa i wrażliwa jego natura poetycka nie posiada się z podziwu, że ktoś tak bystro, tak głęboko, a nie sprawiając bólu, przedostał się do najskrytszych tajni jego twórczości. Musimy tu oprzeć się pokusie, aby szczegółowo przedstawić zapatrywania Małeckiego na „Irydiona“: przekroczyło-by to znacznie rozmiary szkicu niniejszego, a uwagi nasze nie dały-by się zamknąć w kilku zdaniach już choćby z tego tylko względu, że Małeckie, przedrukowawszy w roku 1896 w „Pomniej-

¹⁾ Wyraźnie świadczy o tem zresztą następujące zdanie (Przegl. Pozn., 1847, str. 219, w przypisku): „Część ta pisma naszego, gdzie wyjasniliśmy znaczenie i skład organiczny *Komedyi*, dotąd drukiem ogłoszona nie została“.

szych pismach“ rozbiór „Irydiona“ z roku 1847, poczynił w nim znaczne pod koniec zmiany, skreślił ustępy niektóre, dodał inne, uwydatnił postać Masynissy, określił dokładniej stosunek jego do Kościoła, zmienił wreszcie pogląd na ideę, „kamień węgielny“ Irydiona. Mamy tu zatem do czynienia z d w o m a zapatrywaniami autora na ten sam utwór; jedno wygłasza młodzieniec, drugie mąż dojrzały pół-wiekowym doświadczeniem. Rzecz-to sama w sobie ciekawa i godna szczegółowego rozpatrzenia, którego wyniki może z czasem podamy¹⁾. Teraz śpieszno nam do dalszych kolei życia, do tak licznych innych prac Antoniego Małeckiego.

III.

Kiedy tak nauczyciel poznański przez lat kilka pełnił spokojnie obowiązki gospodarza klasy („ordynaryusza“) po kolei: w sekście, quincie, wyższej kwarcie, tercyi i niższej sekundzie; kiedy otaczał go rój uczniów, Ignących z miłością do takiego kierownika nauk, naraz w roku 1850 otrzymał Antoni Małecki wezwanie Uniwersytetu Jagiellońskiego na katedrę filologii klasycznej. Na czele rządu austriackiego stał hr. Leo Thun, życzliwie dla Galicyi usposobiony. W uniwersytecie krakowskim zaczęły się wykłady w języku polskim, wygłaszane przez ludzi tej miary i zasługi, co Józef Majer, Józef Muczowski, Skobel, Wincenty Pol, z młodszych: Józef Kremer, A. Helcel, Zielonacki i inni. Do tego-to grona przyłączył się Małecki i z młodzieńczą energią jał się pracy na takim, tyłowiekową tradycją uświęconem polu. Obok zajęć uniwersyteckich, rząd powierzył mu dyrekcję gimnazjum Ś-ej Anny z zadaniem zreorganizowania go

¹⁾ Różnice tekstu zaczynają się w książce: „Z Dziejów i Literatury“. (Pomniejsze pisma) 1896 r., na str. 39 od słów: „Przez cały przebieg dramatu...“. Tekst pierwotny urywa się na zdaniu: „Masynissa porywa w objęcia i zapada z nim“. Ob. „Przegl. Pozn.“, 1847, str. 214, ostatni wiersz u dołu. Dwudziestu dwom stronicom pierwotnego tekstu odpowiada w przeróbce z roku 1896 ośm stronic. Nieraz zasadnicze pojęcia uległy zupełnej odmianie. Pojęcie naprzykład Szatana („Przegl. Pozn.“, 1847, str. 220), nie ostało się w przeróbce. Szczegóły liczne musimy tu pominąć.

według nowego systemu. Małeckiemu paliła się, rzecz można, robota w rękę. Już w końcu pierwszego roku pobytu w Krakowie ogłasza drukiem wykłady swe uniwersyteckie, miane w półroczu letniem roku 1850, pod tytułem: „Prelekcyje o filologii klasycznej i jej encyklopedyi“ (Kraków, 1851, stron 252). Był to naturalny całkiem początek zawodu profesorskiego: zaznajomienie słuchaczy z istotnem znaczeniem i umiejętną dążnością nauk filologicznych. Jak to pojmował nowy profesor, widać dokładnie z prelekcyi wstępnej, dziś jeszcze przejmującej wzruszeniem. Mówi tam „mieszkaniec innych stron, na Wielkopolskich wychowany równinach“, który „od najpierwszej młodości z czcią i uwielbieniem zwracał myśl swoją ku tej matce wszytkiej oświaty naszej“.

Te prelekcyje o filologii klasycznej, nawet dziś, po pięćdziesięciu latach, nie straciły zasadniczej wartości. Uprzedzenia przeciw językom klasycznym były takie same u nas wtedy, jak i dzisiaj, równe przeciw filologii klasycznej zacierzewienie, równa krytykowanego przedmiotu ignorancya. Małecki zna wszystkie zarzuty i spokojnie, poważnie się z nimi załatwia. Nie będziemy tu powtarzać jego głównych argumentów, zwłaszcza gdy tak niedawno, na tem samym miejscu, wytrawny, długoletni pedagog, znakomity filolog, prof. Bronisław Kruczkiewicz, tę samą kwestyę wszechstronnie objaśnił. Tu radbym tylko zaznaczyć, że w książce swej Małecki nie stoi bynajmniej na stanowisku pedantycznym. Zna on wybornie odwrotną stronę medalu i wyraźnie stwierdza, że „kierunek wyłącznej i wyłączającej erudycyi coraz więcej schodzi z pola; błednieje szkolna lampa wobec słońca, wlewającego coraz rześistsze promienie swoje razem z pełniejszą życia umiejętnością, w posępne dawniej sklepienia pracowni filologicznych“. Ten profesor filologii jest zarazem Polakiem i doskonale rozumie, że w „Polsce ubóstwianie rzeczy starożytnych nietylko znaczne wyrządziło szkody w zakresie piśmiennictwa i języka ojczystego; ale, co gorsza, wiele sprawiło zamętu w dziedzinie dziejowej i politycznej“.

A przecież Małecki zachęca do studyów filologicznych, i stwierdziwszy ujemne ich strony, wynikające ze złego rozumienia celu i znaczenia filologii klasycznej, pragnie, by młodzież nasza, pokonywając trudności tej nauki, przywykała do wyrabiania w sobie hartu woli, tak potrzebnej do zwalczania trudności życia. Bo filologia, wyszedłszy na pozór od rzeczy, nie mających najmniejszego związku z życiem bieżącym, doprowadzi w końcu wytrwałego ucznia „do życia napowrót, dając mu w nagrodę spojrzenie na świat jasne, bystre i wysokie: trafność sądu i czerstwość woli“.

Część druga książki wylicza najważniejsze gałęzie filologii klasycznej. Niemiec był-by tu dał rzecz nudną, suchą i ciężką. Uczeń Boeckh'a i Lachmanna, ma trwałą podstawę naukową, a buduje na niej gmach estetyczny i harmonijny. Aparat bibliograficzny tych prelekcji ma dziś oczywiście tylko historyczną wartość; ale książka ta tyle zawiera cennych spostrzeżeń, hojną dłonią sianych, tak umie ożywić klasyczną przeszłość ciągłym przypominaniem świetnych momentów poezji wszechludzkiej, że ustępy jej czytają się i z zajęciem i z trwałym pożytkiem. Małecki włada tam, jak mistrz, olbrzymią skalą swej erudycyi wszechstronnej. Objasniając istotę romantyzmu wobec klasycyzmu, to przytacza ustęp „Irydiona“, to przeciwstawia „Odyssei“ „Komedya Boską“ Danta. — Shakespeare, Goethe i Schiller wchodzą do rozbioru arcydzieł greckich i rzucają promienie swych arcydzieł na rozjaśnienie Antygony, Elektry i Edypa. W tych prelekcjach objawił się nietylko dzielny filolog, ale przerażający go o wiele poeta.

Filologia klasyczna miała, zdaniem Małeckiego, wyrabiać w swych adeptach, prócz pewnej sumy wiadomości fachowych, hart woli; miała uczyć, jak się zwalcza trudności życia. Niespodziewanie nadeszła chwila, w której profesor miał na sobie samym wypróbować, o ile teoria wytrzyma praktykę. W sam nowy rok 1853 otrzymał Małecki z Wiednia dymisyę. Pokątnym jakimś intrygom udało się podstępnie oczernić ludzi nauki i pozbawić ich stanowiska. Pol, Małecki, Helcel i Zielonacki stracili katedry, Uniwersytet krakowski swe największe ozdoby. Samorząd uniwersytetu obalono, mianując z urzędu dziekanów. Nie pomogła dymisyonowanemu osobista życzliwość prezesa ministrów, Thuna. Małecki powrócił do Poznania, gdzie wystarał się o skromne stanowisko profesora łaciny i historii w szkole realnej. *Aequam memento rebus in arduis servare mentem...* Próba była ciężka — szczęściem bez szkody dla polskiej literatury.

Ewangieliczne słowa: „Przyjacielu! posiadź się wyżej!“, nie dały długo na siebie czekać. Thun już w listopadzie tegoż roku ofiarował Małeckiemu katedrę filologii klasycznej — w Insbrucku. Istotnie znacznie to było wyżej, niż w Krakowie, ale nie milej. Dwa lata (1854 — 1856) spędził Małecki w Tyrolu, w tej Syberyi austriackiej, jak się sam wyrażał — uroczej dla oczu, przez poczciwy lud zamieszkałej, ale smutnej i pustej. „Gdybym był Niemcem, pewnie-bym gdzie indziej mieszkać nie chciał, ale...“.

To *ale* kazało mu Insbruck za nową próbę „trudności życia“ uważać. Dymisyja krakowska przerwała była różne prace, między innymi rzecz o teatrze i dramacie greckim, z której wyjątki dopiero

w lat kilkanaście potem doczekały się druku ¹⁾. To zajęcie się dramatem klasycznym zwróciło fantazję twórczą w tymże kierunku. Wyszła Elektra Sofoklesa w przekładzie Małeckiego w Poznaniu 1854 roku. W ślad za nią tragedia, na podaniu historycznym osnuta, w pięciu aktach, pod tytułem: „List żelazny“, a w następnym roku (1855) komedia w czterech aktach, pod tytułem: „Grochowy Wieniec, czyli Mazury w Krakowskim“. Wymowny to był dowód, jak zetknięcie się umysłu poetycznego z nieśmiertelnymi twórcami helleńskiego ducha działało ożywczo i zapładniająco na twórczość, bez uszczerbku dla narodowego jej kierunku. Na obczyźnie nie przestawał profesor marzyć o kraju i służyć mu; wśród gór tyrolskich fantazja roiła o dalekich czasach Michała Korybuta, o tragicznym wątku „Listu żelaznego“, który w tych właśnie latach dwu wydań się doczekał. Jako tłumacz Sofoklesa, dążył do jak najwierniejszego oddania nie tylko treści utworu, ale i jego formy, rytmiki. Chciał dać przykład, jak tragedye greckie powinny być na język nasz przekładane. A że przykład ten był potrzebny i był skuteczny, o tem świadczy pięknie współzawodnik Małeckiego na tem polu, Kazimierz Kaszewski. Przyznaje on, że przekład Elektry „jest nie tylko dosłownem niemal tłumaczeniem tekstu, ale go ściśle co do rytmu i miary na język nasz przenosi, czyli stanowi możliwie wierne odbicie pierwowzoru, jakby postaci jakiejś w zwierciadle. Ta ścisłość, z jaką Małecki dokonał przekładu Elektry, nie poszła na marne w dalszym ciągu prac tego rodzaju. Można się było zgodzić z nim, lub nie zgodzić na metodę, ale po takim wzorze wierności każdy przedsiębiorcy podobną pracę, czuł się obowiązany szanować, ile możliwości, jeśli nie wszystkie drobiazgi, to przynajmniej charakterystyczne rysy pierwowzoru“ (*Wędrowiec*, z dnia 16 listopada 1901 roku, № 46, str. 909).

Przekład *Elektry* był wyborną szkołą dla dramaturga. Uczył zwięzłości i mocy stylu, dawał wzór wzniosłej tragiczności. Próby ujęcia dziejowych naszych zdarzeń w ramy dramatu, lub tragedyi, nie były, jak wiadomo, pomyślne. Małecki śmiałą ręką, niespodziewanie zapewne dla wszystkich współczesnych, co o nim tylko jako o profesorze filologii słyszeli, sięgnął po laur dramaturga. Dał nam historyczną tragedję i historyczną komedję, dwa sceniczne utwory, które wytrzymały i próbę sceny i — co ważniejsza, próbę czasu. „Grochowy wieniec“, utwór, napisany przed czterdziestu sześciu laty, odegrano

¹⁾ „Ustępy z historii dramatu greckiego“. *Biblioteka Ossolińskich*. Poczet Nowy. Tom IX. Lwów, 1866, str. 62 — 80. Tom X, str. 80 — 145.

na scenie warszawskiej 2 lipca 1897 roku z takim powodzeniem, że odtąd grano tę komedię już czterdzieści pięć razy, i nieraz jeszcze grać będą ¹⁾).

List Żelazny nie miał takiego powodzenia na scenie. A przecież mało mamy w naszej literaturze dramatycznej utworów, które-by mogły się zmierzyć z „Listem Żelaznym“. Nikt przed Małeckim nie umiał wydobyć z bolesnego tematu pańszczyzny takiego iście tragicznego założenia: szlachcic ambitny, u celu marzeń będący, w przededniu ślubu z ukochaną dziewczyną, dowiaduje się, że jest synem chłopskim, w kolebce przez mamkę zamienionym, że z dumnych rojeń strącić go ma w przepaść poddaństwa fakt prosty, a w Polsce stanowczy: nie jest „urodzonym“. Walka duchowa, jaka się w tym człowieku toczy, i zwolna, lecz stale, do zbrodni go wiedzie, skreślona jest z wielką znajomością duszy ludzkiej. Spotkanie z matką wstrząsa do głębi. Całość rzucona jest na tło ponure, dziejowe, bez przesady skreślone. Znajomość epoki ogromna, a język szczeropolski, miejscami z powodu białego wiersza do złudzenia przypominający „Odprawę posłów greckich“, pozostanie trwałą ozdobą tej przejmującej tragedyi. W pojęciu swem zasadniczem jest ona iście klasyczną: jak fatum nad rodem Labdakidów, tak tutaj, nad tą polską tragedją, straszne, nieubłagane fatum przesądu kastowego, pańszczyzny, zawisło — a widz polski w ambitnym i zapamiętałym synu Marty, wieśniaczki, ma jakby wcielenie wiekowego grzechu polskiego, ucisku poddaństwa, który w końcu mści się na sobie samym. Dla ogółu teatralnego jest może „List Żelazny“ zbyt ponury, zbyt poważny, zbyt wreszcie treściwy. Ale może nadejść czas, w którym będzie powszechniej rozumiany.

Kto dolę kraju tak na wskroś rozumiał i tak gorąco ukochał, temu pobyt na obcej ziemi ciężył kamieniem na sercu. Starał się autor „Listu Żelaznego“ o powrót do jednego z dwu uniwersytetów galicyjskich. Dowiedziawszy się z programu wykładów lwowskich, że katedra literatury polskiej nie jest tam obsadzona, zwrócił się Małeckie do ministra, hr. Thuna, najpierw listownie, wreszcie osobiście z prośbą o udzielenie mu tej katedry lwowskiej. Thun — oddajmy mu sprawiedliwość — traktował sprawę poważnie. Ponieważ chodziło nie tylko o historję literatury, ale także o język polski, wymagał prezes ministrów od Małeckiego dowodów, że potrafi wykładać gramatykę polską porównawczo, to jest z uwzględnieniem innych języków sło-

¹⁾ Ob. artykuł D. Zglińskiego w *Wędrowcu*, 1901 roku № 46, str 912: „A. Małeckie jako dramaturg“.

wiańskich—i odesłał go do znanego slawisty, Fr. Mikloszica. Ten zachęcił Małeckiego do wyuczenia się języka starosłowiańskiego ¹⁾. Małecki nie wiedział zrazu, czego chcą od niego; ale był to warunek konieczny do uzyskania upragnionego w kraju stanowiska. Zabrawszy z księgarni wiedeńskiej wszystkó, co Mikloszic z zakresu starosłowiańszczyzny wydał i napisał, z całą paką nieznanych sobie dzieł wrócił Małecki do Insbrucku i zasiadł do studyów starosłowiańskich: „Kiedy się zabierałem do tego, — pisze Małecki ²⁾, — drwiłem z wymaganego warunku. Sądziłem, że to bzik, żeby ten stary mamut zdał się na co, na pożytek dzisiejszej polszczyzny. Ale ja-bym się był uczył z równym zapalem i po japońsku, skoro to miało być warunkiem odzyskania życia w ojczyźnie. Już po trzech dniach tej nauki otwarły mi się oczy i zatopiłem się w tych studyach z całym zamiłowaniem“.

W trzy miesiące, od Wielkiej Nocy do Ś-go Jana 1856 roku, przestudował Małecki wszystko, co Mikloszic napisał, dał tego zadowalające dowody, a kiedy w lipcu tegoż roku przejeżdżał przez Wiedeń w Poznańskie, już go Thun zapewnił o niedalekiej nominacji na profesora języka i literatury polskiej w Uniwersytecie lwowskim. Nominację tę podpisał Franciszek Józef I dnia 22 sierpnia 1856 roku ku zupełnej niespodziance Uniwersytetu we Lwowie, a nawet namiestnika Galicyi, hr. A. Gołuchowskiego.

Przed Małeckim otworzyło się rozległe pole działania wśród swoich i dla swoich.

IV.

Początki nie były łatwe. W latach owych germanizacyjny prąd nie osłabł był jeszcze. W uniwersytecie lwowskim wszystko wtedy odbywało się po niemiecku. Małecki odważył się na wykład polski po

¹⁾ Szczegółowo opowiada to sam A. Małecki w „*Historji Uniwersytetu Lwowskiego*“, napisanej przez d-ra L. Finkla i d-ra Stanisława Starzyńskiego (Lwów, 1894, str. 335 i dalsze).

²⁾ W liście do mnie (z dnia 13 stycznia 1902 roku), w którym łaskawie niejeden szczegół życia swego i działalności wyjaśnił.

naradzie ze starym, doświadczonym bibliotekarzem, Strońskim. Miodowe lata pierwszych wykładów języka polskiego i starosłowiańskiego były „rekreacją“, domowej pracy nie wymagały. Więcej trudu sprawiało spisywanie zeszytów do wykładu historii literatury. W roku 1859 rozpiisał Wydział krajowy wspólnie ze szkolnym departamentem Namiestnictwa konkurs na gramatykę języka polskiego dla szkół średnich. „Na razie nie miałem zamiaru wdawać się w tę aferę, tak daleką od mych estetyczno - literackich i aspiracyj, i zajęć. Ale znajomi i życzliwi, głównie Bielowski, Pilat (ojciec dzisiejszych), Szajnocha, miru mi nie dawali, namawiając, żebym wziął udział w konkursie. Sam musiałem im przyznać słusność, że od tej sprawy się nie wybiegam, planowanej przez Wydział już od roku 1845, dotąd bez skutku, i ponowionej w 1859 roku.

„W ciągu roku *dwie* gramatyki (r. 1860) oddałem do ocenięcia. Trutynowano rzecz do końca roku 1862! Wygrałem, i tak wszedłem w poczet gramatyków, do którego więc tylko zewnętrzne okoliczności mnie przyłączyły. Druk gramatyk z końcem roku 1863“ ¹⁾.

Obok większej gramatyki, przeznaczonej dla starszych, wydał Małecki jej skrócenie dla szkół średnich z zastosowaniem do umysłu młodocianego; a więc z konieczności traktowała gramatyka mniejsza reguły dogmatycznie. Szkolny ten podręcznik rozszedł się w niezliczonym mnóstwie egzemplarzy i doczekał się już ośmiu wydań. Znaczenie „Gramatyki“ trafnie scharakteryzował doskonały znawca przedmiotu, Ad. Ant. Kryński: „Pojawienie się „Gramatyki“ Małeckiego było wypadkiem, ważnym dla nas z dwu względów. Przede wszystkim miała ona doniosłe znaczenie pedagogiczne; przy pomocy bowiem tej książki, pierwiastki wiedzy językoznawczej wprowadzono do nauki języka polskiego, co zarazem podnosiło poziom nauczania tego języka; powtóre, zasady naukowe, w tem dziele zawarte, sprowadziły w szerszych kołach zmianę w pojmowaniu i traktowaniu nauki języka ojczystego“ („Wędrowiec“, j. w., str. 905). Do tych związanych słów uznania dodać chyba możemy to tylko, że mało znamy książek, tak praktycznie dla szkoły średniej ułożonych, tak ponętnych nawet (o ile książki szkolne mogą być ponętne) dla młodzieży dorastającej, lat 10—13. Zwłaszcza składnia zdumiewa bogactwem trafnie dobranych przykładów, które drażnią ciekawość chłopięcą, wbijają się same w pamięć, a że są opatrzone nazwiskami autorów, tworzą

¹⁾ List z dnia 13 stycznia bieżącego roku.

zatem jakby pierwszy, bezwiedny, samoistny podkład dla przyszłej nauki o dziejach prozy i poezji polskiej ¹⁾.

Profesor języka polskiego był zarazem profesorem literatury polskiej. Uczyniwszy zadość obowiązkowi gramatyka, wypełniwszy dotkliwy brak książki niezbędnej — zwrócił się Małecki z całym zapalem do dziejów piśmiennictwa polskiego. Wykłady jego były tłumnie uczęszczane. „Pociągały one — pisze prof. Finkel — prostotą formy, przemawiającą do każdego umysłu, a głębokością i gruntownością studyów zadziwiały. Wszystkie epoki literatury objął w swoich prelekcjach“ ²⁾. Rozgłos tych wykładów sprawił, że w roku 1862 Małecki otrzymał wezwanie od margr. Wielopolskiego na katedrę w Szkole Głównej w Warszawie i, ulegając namowom Papłońskiego, postanowił przypatrzeć się stosunkom na miejscu, pojechał na dni kilka do Warszawy. Ofiarowano wówczas Małeckiemu cztery zajęcia: profesorstwo w Szkole Głównej, w Akademii Duchownej, następnie nadzór nad wychowaniem dzieci Wielkiego Księcia Konstantego i uczenie samego Wielkiego Księcia polskiego języka. Z wielkimi honorami przyjmowano wtedy Małeckiego u Wielopolskiego, Enocha i Krzywickiego. Ale margrabia zraził go swoją wyniosłością. Wróciwszy do Lwowa, odpisał stamtąd Małecki, że nie może się przenieść do Warszawy ³⁾.

Niebawem nastały w Galicyi czasy lepsze dla języka narodowego, jakkolwiek walka o prawa autonomiczne była jeszcze ciężka. Sala wykładowa Małeckiego nie mogła pomieścić trzystu jego słuchaczy. Na rozbiór „Króla Ducha“ zapisanych było stu pięćdziesięciu trzech. Z trudem udało się wywalczyć w Senacie akademickim udzielenie większej sali. „Małecki mówił zawsze, nigdy nie czytał swych prelekcij. Forma wykładu była pełną naturalności i prawdziwie szlachetnej prostoty. Władał zawsze tematem, nigdy mu się porwać nie dał... W chwilach tylko, kiedy znakomity profesor wnikał w istotę natchnienia któregoś z wielkich poetów, kiedy zstępował w ten ta-

¹⁾ W szesnaście lat potem wydał Małecki nowe dzieło pod tytułem: „Gramatyka historyczno - porównawcza języka polskiego“. Lwów, 1879. Tom pierwszy, str. XII + 490. Tom drugi, str. 546. Nie jest to drugie, poprawne wydanie gramatyki z roku 1863, lecz zawiera zupełnie nowy wykład, rozwinięty na obszernej historyczno-porównawczej podstawie; zaledwie jedna trzecia osnowy ma podobieństwo do dawnej gramatyki. Tę nową podstawę określa autor w „Przedmowie“ z roku 1879.

²⁾ „Historya Uniwersytetu Lwowskiego“, j. w., str. 336.

³⁾ „Historya Uniwersytetu Lwowskiego“, j. w., 337.

jemniczy, a wspaniały świat twórczości poetyckiej, kiedy wskazywał słuchaczom swoim najpromienniejszą stronę rozbieranego właśnie utworu, lub w końcu kiedy przychodziło mu szukać do słów poematu komentarza w kolejach i boleściach życia poety — wówczas głos ten spokojny stawał się dziwnie wymownym i wzruszającym, a oko profesora iskrzyło się blaskiem zapału, lub wzruszenia, które magiczną siłą porywały najobojętniejszego nawet słuchacza¹⁾.

Wykłady takie szerzyły znajomość literatury, budziły w słuchaczach zapał dla poezji, uczyły, jak czytać i gdzie szukać estetycznych rozkoszy. Doniosłość ich nie da się dziś nawet dokładnie zmierzyć i ocenić, jak niepodobienstwem jest obliczyć, ile plonu w lecie przyczyni cichy, ciepły, obfity deszcz na wiosnę. To pewna, że poziom wiedzy literackiej w Galicyi rósł od tych wykładów, że setni słuchacze, późniejsi nauczyciele gimnazyalni nieśli z sobą w głąsę prowincjonalną zapas obfitych myśli, starczących na wypełnienie jałowych dni małego miasteczka, pobudzających do namiętnych, długich koleżeńskich dysput i gawęd.

Kto chce mieć wyobrażenie o metodzie wykładów ówczesnych Małeckiego, niech odczyta dwie jego monografie literackie o *Morsztynie* i o *Fryczu Modrzewskim*²⁾. Znajdzie tam masę nowych (na owe czasy) szczegółów, podanych w tak prostej a pełnej formie, że zrozumie najlepiej, czem były w szóstym dziesiątku lat zeszłego stulecia takie wykłady — i ile im dalszy rozwój naszej historii literatury zawdzięcza. Zasadniczą jest zwłaszcza rozprawa o *Andrzeju Fryczu Modrzewskim*. Wstęp do niej jest jakby programem działania naukowego, mądrym i do naszych potrzeb tak trafnie zastosowanym, że pod tem hasłem Małeckiego działali, działają i działać będą historycy literatury. Wykazawszy, jak pochopnie brali się u nas kompilatorzy do różnych „historij“, „zarysów“ i „obrazów“ literatury polskiej, bez sprawdzania podawanych faktów, bez wyjaśnienia licznych, nietkniętych zagadek, mówi tak dalej: „Pracujemy od niejakiego czasu nad historją literatury w taki sposób, jakby część materyalna nauki zupełnie już była załatwiona, i jakby zależało tylko jeszcze na umiejętnem i artystycznem utworzeniu całości z materyałów nagromadzonych. A tymczasem w rzeczy samej największa potrzeba zachodzi właśnie co do samych-że materyałów. Bo z tych, które mamy, w dzisiejszej chwili trwałego i dogodnego gma-

¹⁾ *Gazeta Lwowska* (feuilleton) r. 1874, № 5. Ustęp powyższy przytoczył J. I. Kraszewski, l. c., str. 192.

²⁾ Przedrukowane w pomniejszych pismach: „Z Dziejów i Literatury“.

chu wznieść nie potrafi najzręczniejsza ręka! Są bowiem niedostateczne, wątliwe, niezdatne. Są to po największej części cegły z nie-dobrej gliny, i kruszą się na pierwsze uderzenie krytycznej kielni...“¹⁾ Tylko niektóre działy piśmiennictwa, poezya i historia, są jako tako obrobione. „Ale dalsze przestrzenie literatury, czy to w wieku zygmunto-wskim, czy w epokach temuż wiekowi przyległych, w smutnym okazują się stanie. Jest to ugor, którego pewne tylko punkta poruszył lemiesz oracza. Są to rozłogi dalekie, obszerne, nieprzejrzane, ale bez stałych osad. Są to kraje, o których umiejętna geografia mało co umie powiedzieć, i które tradycya tylko zapełnia podaniami, lecz nie podaniami badaczy, ale dyletantów, lub kupców, co kiedyś tamtędy przejeżdżali...“.

Cóż ma wobec takiego stanu rzeczy robić pisarz sumienny, chcący objąć cały ogrom literatury, a uważający sobie za obowiązek „nie przyjmować do obrazu swojego, jak tylko twierdzenia i wiadomości *pewne*, sprawdzone, wyjaśnione dostatecznie?“. Jak smutne jest jego położenie! Doświadczył tego na sobie Małeckie. „Trzeba co chwila budowniczą pracę nad całkowitem przeszłości naszej umysłowem przedstawieniem przerywać i zwracać się do krytycznych, cząstkowych rozpatrywań, dotyczących to tego, to owego szczegółu. Robota taka postępuje zwolna i zbyt trudna jest jak na siłę pojedynczej osoby“. I dochodzi się koniecznie do tego wniosku, że musi nastąpić rozumny podział pracy, i że trzeba przedewszystkiem dobrych cegieł, jeśli budynek ma być trwały, że trzeba „badań częściowych, z których-by się dała *kiedyś* złożyć zupełna, porządna, wszelkim wymaganiom zadość czyniąca całość. Monografie zatem stanowiły-by dzisiaj najwłaściwsze zadanie pracy, a nie całkowite, coraz nowe historye piśmiennictwa, do których tylu ciągle widzimy porywających się ochotników“²⁾.

Na takie rozumne *mot d'ordre*, rozpoczęła się mrówcza praca zbiorowa, ukazał się i ukazuje szereg *monografij* historyczno-literackich, które tworzą silną i trwałą podstawę dla naukowej historii literatury polskiej. Jeśli dzisiaj trzech historycy literatury mogli nas obdarzyć dziełami, obejmującemi całość spuścizny duchowej ubiegłych wieków, to niewątpliwie jest w tem dużo zasługi Małeckiego, który przed 35-u laty wydał rozumne hasło podziału pracy i naukowego przygotowywania materiału. Jest to tak w oczy bijąca prawda, że ilekroć w wymienionych historyach literatury, które w tych

¹⁾ *Biblioteka Ossolińskich*. Tom piąty. Lwów, 1864, str. 125.

²⁾ *Tamże*, str. 127.

latach się pojawiły, okres jakiś mniej nas zadowala, po bliższem wniknięciu w przedmiot pokaże się na pewno, że historyk nie mógł tu lub tam oprzeć się na dzielnych monografiach, że, mówiąc stylem Małeckiego, zmuszony był użyć cegły „z niedobrej gliny“, która nie wytrzymuje uderzenia krytycznej kielni.

Nie wynika z tego, abyśmy mieli mnożyć bez końca monografie i na długie lata odkładać próby ujęcia tych monografij w jakąś syntetyczną całość. Sam fakt pojawienia się współcześnie trzech historyi literatury polskiej jest bardzo znamienym i pocieszającym objawem. Jest to jakby wielki przegląd sił zbrojnych naukowych, przegląd konieczny od czasu do czasu, sprawdzenie pozycyi, awanse i degradacye, na które pozwala sobie wszechwładny pan, *Czas*, i potężna królowa — *Opinia*.

Monograficzne opracowanie Morsztynów i Modrzewskiego miało być dla młodszych zachętą i nauką, wzorem i przykładem, co można zrobić dla pisarza XVI-go lub XVII-go wieku. Szczęśliwy traf zrządził, że niebawem po tych mniejszych monografiach dostała się Małeckiemu nieznaną ogromną spuścizną rękopiśmienna Juliusza Słowackiego, wspaniały materiał do skreślenia mistrzowskiej monografii.

Jakiej niespożytej energii potrzeba było, aby w ciągu dwu lat uporządkować niezliczone mnóstwo bezładnych autografów Słowackiego, wydać jego „*Pisma pośmiertne*“ w trzech tomach (razem 1,124 stron druku), a równocześnie ogłosić dwutomową monografią! I to wszystko, nieprzerywając zajęć profesorskich — przeciwnie, mnożąc je, bo na tenże rok 1866 przypada dekanat Małeckiego w Wydziale Filozoficznym.

Pisma pośmiertne Słowackiego odsłoniły wówczas po raz pierwszy *całe* duchowe oblicze tego poety, tak rozmaicie i wtedy i dziś ocenianego, pozwoliły wejrzeć w *całe* bogactwo tej wielkiej duszy. Monografia o nim narzucała się wprost Małeckiemu; postać poety wyzierała jak żywa z jego prześlicznych listów do Matki, przemawiała z tyłu autografów, fragmentów, proszących się, aby z tych *disiecta membra* mistrz jaki całość stworzył i ducha w nich wskrzesił.

Szczęściem to było niezrównanem dla Słowackiego, że spuścizna jego dostała się w tak poważne ręce, które ją umiały uszanować; szczęściem pozostanie dla historyi literatury naszej, że pierwsza u nas wielka biografia tak właśnie była napisaną. Był to u nas pierwszy przykład wielkiej monografii. Małecki nie miał wzoru takiej polskiej książki; sam go dla siebie i dla nas stworzył.

W historii krytyki polskiej zajmie monografia o Słowackim pierwszorzędne miejsce; od niej datować się będzie psychologiczna epoka.

Zrozumiano to zaraz po wyjściu tego dzieła, a Stanisław Tarnowski tak uczcił śmiałego nowatora: „Małecki pierwszy zapuścił się, pierwszy zbadał aż do głębi te przepastne krainy ludzkiego ducha, przepastniejsze nierównie od mateczników litewskich. Przed nim nikt nigdy drogi nie wyrąbał, nikt mu jej nie wskazał, nikt nie rzucił mu światła na tę zawiłą, pełną sprzeczności i tajemnic postać Słowackiego. Był sam, sam ze Słowackim i miał go odtworzyć, jakim był za życia. Nie boimy się przesady mówiąc, że ta robota samotna, trudna, mozolna, bez żadnej pomocy, musiała potrzebować wielkiego zapasu siły, woli i zapału, że w tem śmiałem przedsięwzięciu było coś wielkiego, coś, co przypomina rzeźbiarza, zamkniętego sam na sam z odłamek marmuru, z którego wyjść ma człowiek pod ręką sztukmistrza. Tak Małecki własną pracą, bez żadnej obcej pomocy, wystawił Słowackiemu, a powiedzieć się godzi i sobie, monument *aere perennius*“¹⁾.

Pomnik literacki wystawiony Słowackiemu ma istotnie coś spiżowego w sobie. Upodobania ludzkie są zmienne, a po trzydziestu kilku latach, mogła się ta lub owa część pomnika powlec śniedzią czasu. Żeby było, gdyby nasza wiedza o Słowackim od r. 1867 nie miała w niczem postąpić kroku. Szperamy i przetrzysamy najdrobniejsze świstki, urywki, zdania poetów; nie przepuszczamy literom, nawet pisarskim znakom... Zmienia się technika kompozycyjna, a im więcej nam chodzi o psychologią, tem więcej popadamy w ową „mikrografię“, przed którą ostrzegął Klaczko.

I dla tego dobrze i szczęśliwie się stało, że mamy taki pomnik literacki, o prostych i szlachetnych liniach, bez efektów i efekcików, spokojny i poważny, a nie ciężki i nie pedantyczny, pomnik, którego widok pokrzepia i uspokaja.

Małecki nie narzuca czytelnikowi swych zapatrywań, nie „urządza“ Słowackiego według tych lub owych cytacyi. Stara się tym wrodzonym sobie spokojem, równie dalekim od chłodu analityka, jak od zapamiętałości syntetyka, dobrze zrozumieć poetę, dobrze go odczuć i to co odczuł, dobrze powiedzieć. Na pozór mała to rzecz, ale wystarczy rozejrzeć się w mnóstwie naszych literackich ocen i studyów, aby dojść do przekonania, że zakon literacki nie łatwy jest do pełnienia.

¹⁾ *Przegląd Polski*, Październik 1867 r., str. 6.

„Względem człowieka, którego życie już zgasło, a którego pamięć droga jest społeczeństwu, względem pisarza, którego własne, poufne, prywatne i bynajmniej nie dla wiadomości całego świata kreślone wyznania o samym sobie służyły mi za materiał do jego życiorysu, nie chciałem odgrywać roli sędziego, wyrokującego o nim w doróżnych surowych sądach i niejako zaocznie. Obowiązkiem moim było złożyć wizerunek jego z rysów autentycznych, z szczegółów ile tylko być mogło rzeczywistych i prawdziwych, nie zatajając niczego, co było pomiędzy nimi istotnem. Z drugiej wszelako strony uważałem i tu sobie za powinność, ażeby w tem zestawieniu wizerunku poety wynikało ostateczne o nim zdanie, jako o człowieku, ze samych tylko czynów jego, nie zaś z tych zwierzeń listownych... I pozostawiałem wreszcie sformułowanie tego zdania raczej drugim, niż sobie...“¹⁾

Dzisiaj robimy inaczej, ale chyba nie lepiej. Najtajniejsze zwierzenia, pisane nieraz w przystępie gniewu, żalu lub zniechęcenia obnosimy, przewracamy, patrzymy na nie i z prawej i z lewej strony, i zdaje się nam, żeśmy pochwycili nerw duszy, że mamy do tego wszelkie prawo, boć to przecie „psychologiczne“. Ale z takiego prosektorjum wychodzą zwykle preparaty, może bardzo ciekawe dla teatrów anatomicznych, lecz bez tego właśnie, o co badaczowi chodziło, bez duszy, która kędyś z retorty analitycznej „czmychnąwszy dziurką od klucza, dotąd, jak czmycha, tak czmycha“.

Małeckiego monografia o Słowackim jest nieprześcignionym wzorem doskonałego, harmonijnego zrównoważenia i zespolenia pierwiastku biograficznego z estetyczno-krytycznym, życiorysu z dziejami twórczości.

Wydanie w ciągu jednego roku pięciu tomów (trzy tomy Pism Pośmiertnych, dwa tomy monografii) mogło-by być osłabić energię nie tylko duchową ale wprost fizyczną; ale przedziwnie krzepka natura nie dała się nawet takiemu nadmiarowi pracy ani zużyć, ani znużyć. Małecki po dawnemu wykładał i przykuwał licznych słuchaczy do swej katedry, podawnemu pamiętał o filologii polskiej i w r. 1871 wydał największy rozmiarami zabytek starej polszczyzny z wieku piętnastego, tak zwaną *Biblię Królowej Zofii*, opatrzwszy wydanie rozprawą o najstarszych przekładach biblii i słownikiem wyrazów staropolskich²⁾.

¹⁾ *Juliusz Słowacki, jego życie i dzieła w stosunku do współczesnej epoki.* Tom II. Lwów 1867, str. 332—333.

²⁾ *Biblia Królowej Zofii, żony Jagielly z Kodexu Szarospatackiego nakładem Księcia Jerzego Henryka Lubomirskiego wydana przez Antoniego*

W rok później uznanie całego Uniwersytetu obdarzyło go rektorstwem, dającym głos wirylny na Sejmie Galicyjskim. Był Małecki pierwszym Polakiem z wydziałów świeckich, którego wybrał Uniwersytet lwowski na rektora. I pod tym względem utorował na dobre drogę rodakom.

Jeszcze w r. 1869 wezwał go Jerzy ks. Lubomirski na zastępcę kuratora zakładu nar. im. Ossolińskich. Mnożące się obowiązki urzędowe i administracyjne pochłaniały czas drogi, który mógł być lepiej użyty.

Przyszła chwila walki wewnętrznej ducha, żadnego dalszej nad sobą pracy, z krępującymi go więzami codziennych, monottonnych zatrudnień. Walka cicha doprowadziła do wyniku, będącego bolesną dla Uniwersytetu lwowskiego niespodzianką: zaraz po rektoracie swym złożył Małecki obowiązki profesorskie i wyrażając się stylem urzędowym „przeszedł w stan *spoczynku*“. A stało się to właśnie dla tego, aby oddać się niepodzielnie i wyłącznie naukowej *pracy*. Był to nowy sposób pojmowania emerytury.

Z żalem głębokim żegnał wydział filozoficzny znakomitego kolegę, uczniowie i słuchacze niezrównanego profesora. Nie można się było oswoić z tą myślą dobrowolnego ustąpienia; różni to różnie tłumaczyli. Józef Ignacy Kraszewski, mający zresztą dobre informacje, pod tym względem się pomylił. Przypisywał ustąpienie Małeckiego zniechęceniu, wywołanemu jako-by nielicznem uczęszczaniem słuchaczy na wykłady. „Prawdę powiedzieć należy; liczba uczniów uczęszczających na wykłady nigdy (?) nie odpowiadała pracy, jakiej one wymagały“. A oceniwszy zbyt surowo „okoliczności miejscowe“ i ówczesną młodzież uniwersytecką, studującą nie dla nauki, lecz dla chleba, pisał Kraszewski: „Wiemy to dobrze, że sympatyczne wykłady prof. Małeckiego częstokroć nie więcej nad kilku (!) lub kilkunastu liczyły słuchaczy. Godziło się im tak drogi, a mogący być użyty z daleko większą dla ogółu korzyścią czas—poświęcać?“ (*Kłosa*, j. w. str. 192).

Mogło się zdarzyć, nie przeczę, że w tem lub owem półroczu mniej miał słuchaczy Małecki; ale tak doświadczony i długoletni profesor nie byłby się tem zrażał do tego stopnia, aby katedrę opuścić. Po-

Małeckiego. We Lwowie, 1871, in 4-o, str. L+340. Liczne podobizny, bardzo pięknie wydrukowane, tworzą z wydawnictwa tego i pod względem czyisto typograficznym dzieło pomnikowe.

budki były głębsze i płynęły nie z ambicyi niezadowolonej, ale owszem z najszlachetniejszej chęci skupienia reszty sił dla jednego wyłącznie, drogiego sercu, a ściśle naukowego celu. Oto co pisze sam Małecki:

„Prelekcyje moje były tłumnie frekwentowane. I przez pierwsze lata mnie to cieszyło, pochlebiało; zresztą sam przedmiot, dokładniej krok za krokiem badany, zajmował mnie niepomierne. Ale po kilkunastu latach rzecz zaczęła dla mnie powszednieć, traciła urok świeżości.

„Im bardziej sala natłoczona była słuchaczami, nie tylko studentami, ale najróżniejszymi ludźmi z miasta, nawet przejezdny, tem uciążliwsze być musiało przygotowywanie się na każdy odczyt. Samo takie rozmyślanie prelekcyi, w rannych godzinach, na podstawie moich tak lakonicznych notatek zajmowało bez mała dwie godziny.“ (List z d. 13 stycznia 1902).

Po tylu latach pracy miał chyba Małecki prawo odpocząć według swego upodobania, wrócić nareszcie do ulubionych od wczesnej młodości studyów nad genezą społeczeństwa polskiego. „Od lat najmłodszych był to mój najulubieńszy temat rozmyślań. Historia—jeżeli nie cywilizacyi, to społeczności polskiej: wewnętrzne dzieje—dzieje duszy narodu. Gdybym był po rodzicach wziął w spadku taki majątek, który by mi na utrzymanie wystarczał, byłbym od razu w tym, tylko w tym przedmiocie pracował. Ale nie było tak.“

Trzeba było zdobyć chleb pracą na innem, pokrewnem polu, ale czy to w gimnazyum poznańskim, czy w Krakowie, czy w Insbrucku, a nawet we Lwowie—przez długich lat kilkadziesiąt nie było to to, czego w głębi „dusza pragnęła“. Aż wreszcie po tylu latach dzielnej wytrwałej pracy dla drugich, doczekał się Małecki z upragnieniem wyczekiwanej chwili swobody, „swobody prywatnego człowieka“, którą mógł wreszcie swoim ulubionym badaniom oddać. I tu tkwiło rozwiązanie zagadki, dlaczego w sile wieku rozstał się z katedrą uniwersytecką. *On revient toujours à son premier amour*. Tą pierwszą miłością młodzieńca były badania przeszłości społecznej polskiej, które rozpoczął w roku 1846: „Porównaniem pierwotnych zawiązków społecznych u Germanów i Słowian“. Do niej teraz wracał z tyloletniej koniecznej wędrówki, wracał, jak do źródła ochłody. Ze spokojem i prostotą mędrca helleńskiego oddawał się cichej rozkoszy uczenia się na starość. „Cała moja radość badać rzecz w sobie ważną i ciekawą, a dla mnie niejasną, lub zawikłaną. Dla zbliże-

nia się, bodaj pod koniec życia do tej ciągle zaniedbywanej z musu materyi, poświęciłem katedrę i stanowisko. Nigdy tego potem nie żałowałem! ¹⁾.

V.

Zapowiedzią nowych studyów na niwie dziejowej przeszłości Polski pierwotnej, a zarazem przejściem naturalnem z dziedziny filologicznej do historycznej była rozprawka, ogłoszona w roku 1872 pod tytułem: „Co rozumieć o runach słowiańskich i o autentyczności napisów na mikorzyńskich kamieniach“. (Poznań, przedruk z Roczników Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego). Odtąd, niemal rok po roku, ogłaszał Małecki z młodzieńczym zapalem owoce swych historycznych poszukiwań ²⁾. Dokładność ich i rozległość pochłonęła wszystkie niemal siły badacza, który rzadko już tylko i jakby dorywczo na dawne pola się przenosił ³⁾. Założona w roku 1873 Akademia Umiejętności w Krakowie zwróciła się do niego przy organizowaniu Wydziału Filologicznego. Napisał wtedy Małecki doskonały program: „O zadaniach Wydziału Filologicznego Akademii Umiejętności“, w którym nakreślił bystro plan najpotrzebniejszych prac. A do nich zaliczał: 1) „potrzebę nieodzowną biografij“, monografij ważniejszych pisarzy, 2) wydanie dzieł rzadkich, 3) wizerunki dziejów specjalnych nauk, 4) historję różnowierstwa polskiego, 5) dzieje Uniwersytetu Jagiellońskiego i t. d., nie pomijając niczego ważnego, aż do ludowego słownictwa i reformy pisowni ⁴⁾. Każdy dziś przyzna, że ten program jest drogowskazem polskich filologów, i że nie jeden z punktów programu Małeckiego wszedł już w życie. W roku 1874 ogłosił w drugim tomie Rozpraw Wydziału historycznego Akademii

¹⁾ List z dnia 13 stycznia 1902 roku.

²⁾ Ob. *Przewodnik naukowy lwowski*, r. 1873: „Panowanie Bolesława Krzywoustego“ — r. 1875: „Testament Bolesława Krzywoustego“, — Biskupstwa — Klasztory i Zakony.

³⁾ Gramatyka języka polskiego (historyczno - porównawcza), Lwów, 1879, dwa tomy.

⁴⁾ Rozpr. i Spraw. Wydz. Filolog. Ak. Umiej. Tom I, Kraków, 1874, str. 1 — 20.

Umiejętności studyum, pod tytułem: „Kartki z dziejów Uniwersytetu Krakowskiego“ (epizod z czasów Kazimierza Jagiellończyka). Ale były to urywkowe zajęcia, które nie zdołały oderwać autora od ulubionych studyów średniowiecznych¹⁾. Hipotezy Piekosińskiego o dynastycznym pochodzeniu szlachty polskiej i ciekawe dyskusje naukowe nad tą ważną kwestyą (Bobrzyński i Smolka) pobudziły Małeckiego do ogłoszenia wyników własnych poszukiwań, których część wydał jako *Studia Heraldyczne* (dwa tomy, Lwów, 1890). Znaczenie ich dla nauki oceniła najlepiej Akademia Umiejętności, odznaczając dzieło nagrodą z zapisu Barczewskiego. W motywach tej nagrody czytamy między innymi:

„Jest to dzieło rozległej erudycji, niezmordowanej pracowitości, ważny przyczynek do wyjaśnienia zagadkowej genezy społeczeństwa polskiego, która od pewnego czasu zajmuje tylu pracowników w literaturze historycznej. Literatura tego przedmiotu obecnie już wcale obfita, nie wydała jeszcze dotąd dzieła, które-by w równej mierze, jak książka Małeckiego, wyzyskiwało tak skrzętnie, tak pracowicie cały rozległy materiał źródeł, złożony w pomnikach historyograficznych, dyplomatycznych i sfragistycznych²⁾).

W ślad za *Studiami Heraldycznymi* poszły liczne rozprawy, drukowane przeważnie w *Kwartalniku Historycznym*³⁾ mające zawsze (nieraz odległy) związek z główną kwestyą genezy społeczeństwa polskiego. W roku 1896 powraca do niej Małecki w ważnym dziele pod tytułem: „*Lechici w świetle historycznej krytyki*“. W roku 1895 dała „Znaczenie Unii horodelskiej w roku 1413 z punktu widzenia heraldycznego“ (*Kwart. Hist.*, tom XII, 751 — 762).

Ten prosty spis badań historycznych Antoniego Małeckiego ma tutaj tylko zewnętrznie uwydatnić obfitość, ciągłość, nieznużoną trwałość i wytrwałość pracy trzydziestoletniego... emeryta. Nie dał

¹⁾ Kiedy powstał memoriał Ostroroga? *Kwartalnik historyczny*, rok 1887, tom pierwszy, 385 — 404.

²⁾ Rocznik Zarządu Akademii Umiejętności. Rok 1890, str. 121. Szczegółowy rozbiór tego dzieła dał Piekosiński w *Kwartalniku historycznym* z roku 1890, str. 670 — 730.

³⁾ „Grzywny karne w dawnej Polsce i najdawniejsza nasza grzywna mennicza“. Rok 1893, str. 214—239. — „Studjum nad bullą Innocentego II z roku 1136 wydaną dla arcybiskupstwa gnieźnieńskiego“. Poznań, 1894 (*Rocznik Towarzystwa Przyjaciół Nauk*), str. 53. — „Kronika Baszka, czyli tak zwana Wielkopolska kronika“. *Kwartalnik historyczny*, 1894, str. 1—23. „Ludność wolna w księdze henrykowskiej“, tamże. str. 391 — 423.

się on pod tym względem nikomu wyprzedzić. Zastanawiać się tutaj nad znaczeniem i wartością tych badań nie będziemy, są to bowiem materiały, gromadzone do wielkiego gmachu historycznej syntezy, materiały, starannie obrabiane krytyczną analizą—plany, wymiary, obliczenia wielkiego budowniczego, który ostatniej swej myśli jeszcze nie ogłosił. Zajęty jest MałECKI ciągle genezą i historią szlachty polskiej aż do średniowiecza.

„Ta praca moja tak prędko ukończona nie będzie, bo to sprawa i rozległa, i trudna, a zawikłana. *Genezę już mam*, napisaną z pierwszego rzutu; oczywiście, osobno nigdy-był jej nie ogłosił, a wymagałaby i ponownego przestylizowania. Bo ja zawsze to, co piszę, na-przód piszę dla siebie, a dopiero potem *pro publico*. Do dalszych części materiału po większej części już mam. Ale robotę tę i to rozpaczliwie utrudnia, że ten rodzaj historycznego wykładu sprawia wielkie formalne trudności. Zwykła historia snuje się jak nić z kłębka, a tu ciągle kilka kwestyj *naraz* trzeba-by opowiedzieć i udowodnić: jedno bez drugiego i trzeciego niejasne, ciągły *circulus vitiosus!* Trzech ust, trzech piór *naraz* mieć niepodobna. Więc sama walka z formą hamuje rażny postęp roboty“ (*List z dnia 13 stycznia*).

Hamuje — ale jej nie wstrzyma! Czujemy to i życzymy gorąco czcigodnemu Jubilatowi, życzymy nam wszystkim, aby tyloletnich trudów dojrzały owoc rozradował co rychlej naukę polską!

„Trzech ust, trzech piór *naraz* mieć nie podobna“, —mówi autor „Lechitów“. *Naraz*—nie! Ale miał on te trzy złote, nierdzewiejące pióra po kolei w ciągu swego wspaniałego żywota. Miał jedno, którem pisał o Mićkiewiczu, Krasińskim i Słowackim; miał drugie, filologiczne; ma trzecie, uniłowane, dla genezy społeczeństwa polskiego. Wdzięczni rodacy zachowają w późne pokolenia trzech tych piór dorobki. J. I. Kraszewski mniemał w roku 1874, że pióro historyka literatury nie tylko nie będzie złamane, ale owszem, gotuje się do wielkiego dzieła, wieńczącego długoletni zawód profesorski—i wypowiedział nadzieję, że z rąk MałECKIEGO dostaniemy pierwszą, prawdziwą historię literatury polskiej, która „będzie najpiękniejszym pomnikiem jego talentu i trudów. Nikt lepiej przysposobionym nie przystępował do tego zadania i z jaśniejszym pojęciem tego, czem dzieje piśmiennictwa być powinny. On tylko może nam rozproszyć te mroki, jakie pokrywają kolebkę aż do nagłego zjawienia się języka i literatury z Kochanowskim. Z monografij, ogłoszonych już o Morsztynie, Modrzewskim i t. p., możemy wnosić, z jaką sumiennnością i trafnością poglądu opracowane będą epoki późniejsze, do których przedstawienia materiału już jest opracowany“.

Nie przyszło do tego. Pierwsza, młodzieńcza naukowa miłość znęciła badacza ku sobie, a historyk literatury, wytknąwszy młodszym nowe horyzonty poszukiwań, wskazawszy bogate, niétknięte pokłady zabytków piśmiennych, prawdziwy las dziewiczy przyszłych monograficznych opracowań—rzucił się sam z młodzieńczym zapalem ku temu, „czego dusza pragnęła“. Historyk literatury umilkł. Czyżby jednak zaginąć miał ślad pisemny kilkunastoletnich (1856—1873) wykładów? Pytanie to nasuwało mi się nieraz natrętnie, a szczęśliwy jestem, że ciekawości mej Jubilat nie wziął za złe, i że ją w tych słowach zaspokoił:

„Notatki z wykładów są wszystkie zachowane; tworzą ogromny stos zeszytów. Ale były tylko dla mnie pisane, lapidarnie, *Stichwörter*, i suche daty, nazwiska, tytuły, fakta biograficzne. Żeby to ustulizować, trzeba-by z dziewięć lat! Prelekcyje były mówione z głowy. Jedna kartka pisana starczyła na godzinę mówienia. W postępie lat moich profesorskich przybywały coraz nowe wiadomości w piśmiennictwie współczesnem o wykładanych przedmiotach. Kwintesencya z tego wchodziła w moje zeszyty (pisane zawsze *fracta pagina*). Ale to sprawiało w nich zamęt, pozorny nieszyk, który mnie żadnych nie sprawiał trudności, ale drugi nie łatwo się w tem zorientuje“.

Czego odżałować nie można, to tego, że wśród licznych słuchaczy Małeckiego, nie znalazło się kilku, notujących pilnie, spisujących na czysto wykłady o literaturze polskiej. Taki rękopis gotowy był-by z pewnością profesor przejrział, poprawił, uzupełnił; był-by może tomami i epokami historią literatury ogłosił. A tak ubożsi dziś jesteśmy o całą historję literatury polskiej, wygłoszoną kilkakrotnie w cyklu pięciu półroczy, odpowiednio do pięciu przyjętych przez siebie epok (średniowiecze, czasy zygmuntofskie, makaroniczne, stanisławowskie, nowsze do roku 1863). Przebrzmiało żywe, ożywcze słowo, karmili się niem słuchacze Małeckiego — nam pozostawili nieukojoną tęsknotę do tego dzieła, które rosło latami i powinno było przetrwać lata.

*

*

*

Przyjaciół Jana Kochanowskiego i wydawca pism jego, Januszowski, obejmując myślą obfitość i doskonałość prac poety, z miłością wyrzekł: „Co kto weźmie, gdzie wejrzzy, najdzie się czemu podziwić, z czego się ukochoać“. Te słowa przypominają się dziś, kiedy przebiegamy w myśli tak wspaniałą plon Jubilata, zapracowanego, ani my-

ślącego o spoczynku. Jest się, zaiste, czemu podziwić: poeta piszący gramatykę, gramatyk piszący o Modrzewskim, biograf i krytyk Juliusza Słowackiego, wertujący pergaminy i źródła średniowiecza — to człowiek zupełnie wyjątkowy, to chluba naszej umysłowości. A cóż dopiero, gdy przy bliższem wniknięciu w ten żywot długi, równy, czysty, pokazuje się, że jest w nim także „z czego się ukochać“. Że był i jest nam wzorem niedoścignionym wytrwałości niezmordowanej i żelaznej pracy, wszyscy oddawna uznaliśmy. Ale co rzec o tem cichem zaparciu się, trwającym lat kilkadziesiąt, które każe mu pracować na przeróżnych polach, tylko nie na tem, którego „dusza pragnęła“. Kto inny był-by zżymał się, zniechęcił i — zobojętniał w końcu dla pierwszego ideału swych młodzieńczych pragnień. On poszedł w świat spokojnie, z uśmiechem, z pogodnym wzrokiem; sumiennie spełniał te prace, które mu życie narzucało czy to w Poznaniu, czy w Krakowie, czy w Insbrucku, lub Lwowie. A była to „służba twar-da i pochłaniająca czas, ducha, swobodę, myśli...“. Pochłonęła ona wiele, ale nie wyziębiła pierwotnego ognia. I oto po latach wielkich trudów, które los mu rzucał jedne po drugich, przyszła nagroda najmiłsza, możność powrotu do badań z lat młodych, z roku 1845! Jakaż to miłość wielka była w tem nieznuzonem pielgrzymowaniu ze wzrokiem, utkwionym w cel ukochany. I czy nie wielki to wzór dla wszystkich, czy nie dowód żywy, ile może spokojna, cicha, niekrzykliwa, nienarzucająca się, ofiarna dla drugich praca? Życiem swem całem pomagał i pomaga „ku pożytku dobra spólnego“, a pocziwa sława nie szukana, nie czekana, sama wykwitła tam, kędy przeszedł niestrudzony siewca dobra i prawdy.

JÓZEF KALLENBACH.